Janina Łagoda

Wylano morze inkaustu i nadwerężono niezliczone struny głosowe, trudząc się nad ostatecznym i przekonywującym objaśnieniem odpowiedzi na pytanie zadręczające od zarania umysły nie tylko rodaków: dokąd zmierzamy? Dotąd nie znaleziono satysfakcjonującego responsu. Są uczone rozprawy, polityczne deklaracje, sugestie prezentowane w różnych obywatelskich konstelacjach, ale oczekiwanej jednoznaczności brak. Nie powiodło się też przykładowo Paulowi Gauguinowi (1848-1903), wybitnemu francuskiemu malarzowi w jego alegorycznym, wspaniałym obrazie zatytułowanym: Skąd przychodzimy? Kim jesteśmy? Dokąd zmierzamy?
Cele ludzkiej egzystencji są zindywidualizowane i pozostają w samolubnym dystansie od regulacyjnych prawideł państwa. Co do tego nikogo przekonywać nie trzeba. Rzecz w tym, aby rządowe decyzje wpisywały się w pragnienia narodu, a nie gruntowały wyłącznie władcze chciejstwo. Idealistyczne wyobrażenia muszą być nasączone realizmem w obrębie wyznaczonych celów, jeśli mają sprzyjać konsolidowaniu obywatelskiego społeczeństwa i stapiać partyjne egoistyczne nacieki. Trudna to do urzeczywistnienia kwestia. Z drugiej strony apodyktyczne kreślenie przez władców drogi marszu w przyszłość często rani demokrację i może być despektem wobec polskich interesów, a tym razem także unijnej racji stanu. Wyrachowani politykierzy nie próżnują. Dla nich migawka bycia na wizji, czy nawet żałosny w swej treści głos w tłocznej radiowej fali jest rozkoszą, ale i naiwnym atutem w pomnażaniu pozorów swej ważności. Politykierstwo w krajowym wydaniu wzięło górę. Sobkostwo wygrywa, zaś altruizm trafił do aresztu, miejmy nadzieję, że tylko tymczasowego. Świat zaczął się nam oddalać. I znów natarło pytanie: dokąd zmierzamy?

Marszruta

Cel marszu obrany przez rządców jest nader ważny, ale równie istotnym pozostaje kurs po jakim państwowa nawa będzie płynąć. Dzisiejsi władcy, obejmując rządy przed sześciu laty posiłkowali się nośnymi socjalnymi hasłami, które w uproszczeniu sprowadzały się do zawołania: my z narodem, naród z nami, co przyniosło oczekiwany efekt. Skutecznie powtórzyli to przesłanie w kolejnym wyborczym wyścigu, modyfikując nieco wcześniejsze socjalne gesty, jak sztandarowe 500+, pomnożony emerytalny przedwyborczy doping, szkolne wyprawki etc. Wszystko po to, aby w społecznym odbiorze znalazły aprobatę umożliwiającą tzw. zjednoczonej prawicy powtórzenie samodzielnych rządów. I tak się stało, ale też wnet się okazało, że głoszone przedwyborcze ideały po raz kolejny są tylko siecią rzuconą w ławicę spragnionego przez elektorat komfortu ideologiczno-ekonomicznego i nadzieją na wzmocnienie autorytetu Polski w świecie. Nic takiego się nie zdarzyło. Zamiast tego rozgorzała batalia wewnątrz tzw. zjednoczonej prawicy o racje partyjnych liderów tworzących wyrachowany i tyle samo zindywidualizowany przywódczymi ambicjami triumwirat. Walka o prymat trwa w najlepsze, obnażając kruchość pozornego monolitu, który chyba nigdy nie posiadł umiejętności samoistnego zasklepiania ewentualnych rys. Partyjna jedność okazuje się sztucznością, pozbawioną ideowego spoiwa. Być może, że ono gdzieś zostało zdeponowane, a jeśli tak, to pora otworzyć ten magazyn światłości, bo jak dotąd widocznym lepiszczem jest samolubna wersja

o znamionach chęci dyktatorskiego władania krajem. To poważny problem dla myśliciela z Nowogrodzkiej, który zlekceważył społeczną architekturę obwodnic, mających kierować entuzjazm na poprawnie zdefiniowaną bezkolizyjną trasę oczekiwanego rozwoju. Okazuje się, że niektórymi autorskimi aspiracjami prezesa nie są zachwyceni również jego koalicjanci. Ważka to przeszkoda w drodze do przykładowo budapesztańskiego pobratymca, a nade wszystko do cementowania tzw. prawicy pod jednym szyldem.
Władcza zachłanność posiada spory pirotechniczny ładunek, który w ręku nawet wytrawnego minera też może eksplodować. Wydaje się, że zarządzająca państwem prawica nie dysponuje ideologicznym spójnikiem. Jest to zlepek haseł wyrafinowanie wyłuskanych z konserwatywnych (łac. conservatus – zachowawczy) kanonów, mających podkreślać przywiązanie do zakorzenionych w tradycji wartości, obyczajów, teatralnych procesyjno-pielgrzymkowych marszów, smoleńskiej comiesięcznej ostentacji etc. z jednoczesnym niechętnym stosunkiem do zmian w duchu nowości, także tych konserwatywnych. W tej chwili trudno dostrzec linearną zbieżność frakcyjnej hasłowej tzw. zjednoczonej prawicy w obszarze idei spójności. Jest jeden warunek, że moje będzie na wierzchu. Mdłych zawołań o społeczną aprobatę wiele, ale tyle samo, albo i więcej negatywnych odzewów. Okazuje się, że jedynym ideowym lepiszczem łączącym prawych i sprawiedliwych prawicowców jest bezmyślny, prostacki radykalizm o antypeerelowskim ostrzu. Krótki i falstartem znaczony bieg. To przecież w tamtym systemie przygotowano strategię dla odmienionej Polski. Miast wdzięczności dzisiejsi spadkobiercy tamtych dni, kwestionują testamentowe zapisy. Czynią to w obłudnym stylu, tak, jakby oni przejęli pałeczkę od legendarnego Piasta Kołodzieja, utylizując wszystko co po drodze Polsce się przydarzyło. Zdrowy rozsądek ogarnia bezsens, ale partyjna propaganda brnie w zaparte. Co do tej fikcji nie ma wątpliwości. Lubimy legendy. Ale obok nich kroczą fakty, wskazujące na upośledzenie głoszonych dzisiaj wybiórczo wyemancypowanych konserwatywnych prawd. Hasłowa to politykierska zbitka bez szans na sukces.
Fantazyjne prognozy premiera rządu zaklęte w schematycznym uproszczonym realizmie postrzegania otoczenia noszą znamiona pyrrusowego sukcesu. Wydaje się, że premier dedykuje autorskie opowieści o wirtualnych dokonaniach rządu jednemu z najwybitniejszych fachowców bajkopisarskiej branży – H.Ch. Andersenowi (1805-1875), a nie realnemu społeczeństwu, o którego losy podjął się zadbać. Każda bajka utalentowanego autora kończy się morałem, zaś w przypadku polskiego premiera górę bierze koloryzacja dotychczasowych dokonań i wynikających z niej prognoz rzekomo mających nastąpić sukcesów. Realności w tym niewiele, a lud oczekuje konkretów, bez sloganowego pustosłowia.
Autentyczny mąż stanu nie pozwoliłby sobie na kompromitację w tak prymitywnym stylu oraz upokarzające sytuacje, jak bałwochwalcze przecinanie wstęg na szosach wybudowanych inwencją samorządów, np. fragmentu wrzesińskiej obwodnicy, a w tle protesty rolników i rejterada premiera lub żenujący wykład jego zastępcy od bezpieczeństwa, na domiar prezesa rządzącej partii, uzasadniający potrzebę wiercenia tunelu pod Świną, co wedle jego propagandowej dialektyki ta inwestycja ma ponoć ostatecznie spleść wyspy Wolin i Uznam z Macierzą, tak jakby dotąd leżały poza granicami kraju. Trywialny werbalny zabieg, lekceważący wieloletnią batalię stoczoną w powojennych czasach i kontynuowaną po 1989 roku, która pozwoliła traktatowo wytyczyć przebieg zachodniej granicy, także na tamtym wyspiarskim odcinku (Świnoujście, to 44 wyspy).
Mowa prezesa sugerowała jakoby graniczną kwestię ostatecznie załatwiła dobra zmiana. Pominął trud dawnych mężów stanu z prawdziwego zdarzenia, dla których dyplomacja, negocjacje oraz dbałość o ich poziom stanowiły priorytet. I dzisiaj należy korzystać z tamtego

dorobku, a nie pleść androny. Chińsko-brytyjskie wiertło rozwiąże tylko jeden technicznie ważki problem, zaś w otwartości pozostaje wiele społeczno-gospodarczych splotów, których rozsupłanie wymaga subtelnych umiejętności, a nie lekceważących naród wiecowych zbitek. Trudno doszukać się w dziejach RP aż tak infantylnego premierostwa i jego politycznych mocodawców.
Władający Polską są przekonani, że opanowali do perfekcji elementy tworzenia, wedle własnego patentu, społecznie wzniosłych konstrukcji. Problem w tym, że stawiają je na ruchomym gruncie, podmywanym konfliktami inspirowanymi najczęściej przez partyjnych decydentów. Bliskie to samozatraceniu. Amok to też ludzka przypadłość, ale dlaczego zakładnikiem owego żenującego politykierstwa ma być polskie społeczeństwo?
W świecie, obok demokratycznych ustrojowych rozwiązań funkcjonują także autorytarne indukcje, mieniące się egalitarnymi. Rządząca partia winna unikać wzorców, które jeszcze niedawno były dla nas bezalternatywnymi. Nonszalancja nie uchodzi. Nie wolno też ignorować dawnych jałtańskich mocarzy, którzy do zafundowanej nam wówczas niepodległości dołożyli ustrojowy pakiet, ale po latach go skorygowali, przytłumiając portfelem demokratycznych kanonów, pozostawiając nam wolną rękę w korzystaniu z nich. Natychmiast też odżyły tkwiące w nas sarmackie, sobiepańskie upodobania, łącznie z nieśmiałą afirmacją liberum veto. Przymiot wolności może być odmieniany przez różne przypadki, ale zatraca swój potencjał, kiedy niebezpiecznie zbliża się do anarchii.
Wydaje się, że nowogrodzkie umysły, usiłując modelować Rzeczpospolitą wedle własnej wizji dotarły do ściany bezradności. Rządzącym poplątała się definicja współczesnej demokracji z jej partyjną formułą niedawno skreśloną przez ogólnospołeczny solidarnościowy bunt. Nie wydaje się, aby żoliborski prezes, kreujący się na przewodnika państwa, wyzbył się nagle zaściankowej ekstazy. Świat, ale i Unię Europejską traktuje jako potencjalnych zaborców, ale przecież suwerenność, to wektor wewnętrznej polityki kraju i zagranicznego otoczenia. Zasklepienie narracji jego przybocznych, którzy twórczo, w poddańczym trybie usiłują pogłębiać i utrwalać myśli prezesa, ten ważki problem jest z premedytacją ignorowany. Czynią to na tyle skutecznie, że mieszkańcy kraju, ale i zagranica przestają pojmować kierunek marszu prawej i sprawiedliwej partii. Dla totumfackich prezesa realizm jest pojęciem obcym. Stanęli więc przed murem infantylizmu. Sondażowe wskaźniki mówią o miernych szansach ich kolejnego wyborczego zwycięstwa, aczkolwiek dusza narodu, to złożony biogram, w którym wielomilionowe elektorskie upodobania miksują żywioł z rozumem.

Ściana

Na przekór optymistycznym zapowiedziom dobrej zmiany, jej populistyczne ideały coraz bardziej grzęzną pod pręgierzem społecznych weryfikatorów. To defekt w umiejętnościach prognozowania nie tylko strategii, bo trudno ją dostrzec, ale i taktyki równie niewyrazistej. Chwilowy administrator państwa, mnożąc społeczne konflikty, pogubił się w swoim chciejstwie. Okazuje się, że jedyną dotąd rozpoznawalną metodą kreślenia swej politycznej ważności jest samouwielbienie. Etap następny, to zapewne brutalne zderzenie się z rzeczywistością, a skutkiem tego może być rozczarowanie, bo nie sposób wznosić budowlę w atmosferze nasyconej wybuchowym prochem.
Podpalanie lontu jest prostą sprawą, sztuką zaś panowanie nad pirotechnicznymi skutkami zaiskrzenia. Okazuje się, że w tym obszarze zbrakło kompetencji. Żywioł nie ma alternatywy. Jego rujnujące procedury mogą być zaledwie łagodzone. Bufonada bierze górę. Umiejętności

niebezpiecznej piromańskiej profesji przerosły percepcję wicepremiera rządu od bezpieczeństwa i partyjnego rządcy państwa w jednym. Nie da się budować przyszłości przy pomocy awanturniczego, eksplozją grożącego dynamitu. Dlaczego zakładnikiem tej zawistnej utopii ma być społeczeństwo, także ta jego część wczoraj schlebiająca pisowskiej propagandzie, a dzisiaj rozczarowana swoją wcześniejszą ufnością do słowotoku partyjnych agitatorów.

Dotąd tylko raz poradziliśmy sobie z o wiele większym problemem. Były to powojenne czasy pełne wyrzeczeń, ale i optymizmu, bezinteresowności, wspólnych czynów, serdecznych więzi etc. Impuls ten został wprawdzie sprowokowany przez innych, ale wyzwolił autentyczne pokłady spolegliwości tkwiące w mieszkańcach naszej ziemi. Entuzjazm nie trwa wiecznie. Ulega wiotczeniu. Dotąd była to mało odczuwalna tendencja. Ostatnio prawi i sprawiedliwi wzmogli tempo tego gnilnego trendu. Podgrzali ambicjonalną bratobójczą wojnę, coś na modłę tej pookupacyjnej, bezsensownej krwawej bijatyki, godzącej w aspiracje większości społeczeństwa. Jeśli brat unicestwia brata, wedle prymitywnych zbójeckich kryteriów, to i ewangelia zaczyna skwierczeć, a świątobliwe ryngrafy na torsach bojowników prowokują nienawiść, wbrew chwalebnym intencjom tej maniery. Wszystko to miało wówczas stwarzać atmosferę utopijnego czekania na wybuch III wojny światowej, tylko po to, aby mnożyć biologiczne bratobójcze straty i powtórnie rzucić los niedawno odzyskanej państwowości na kalkulacyjne liczydła mocarzy. Nic nie wskazywało na to, że to my, którym raptem przyznano niepodległość w granicznych słupach, będziemy w tym prym wiedli. Prześladuje nas polityczna utopia, krótkowzroczność, a może nieumiejętność współistnienia w międzynarodowym otoczeniu, gdzie zasada wzajemności i taktownego egoizmu jest oczywistym kanonem. Warunek taki, że muszą się tym zajmować politycy i dyplomaci z krwi i kości, a nie partyjni nominaci. Ta sfera również wpadła w objęcia merytorycznego deficytu. Czego można oczekiwać od polskiej dyplomacji, kiedy to zarządzają nią osoby bez daru mistrzowskiego rękodzielnictwa w tej branży? Jest to kpina z dobrych obyczajów, także tych, które gościły w czasach Peerelu.

Kierownictwo resortu od zagranicy, bez doświadczenia w dyplomacji, zagubiło się w merytorycznej uczciwości. Tytuł ministra i wiceministra brzmi dumnie, ale ważkim momentem jest kompetentne wypełnianie powinności wobec Rzeczpospolitej. W tym punkcie partyjne rekomendacje są zgubne. W życiorysach dzisiejszego kierownictwa spraw zagranicznych, poza partyjnym naznaczeniem i najczęściej wcześniejszymi turystycznymi zagranicznymi wycieczkami, stypendiami brak solidnego przygotowania do pełnienia dyplomatycznych funkcji. To może oznaczać, że kontakt ze światem będzie wtłaczał się w niemoc. Symptomów tego w nadmiarze już dostrzegamy.

Dobra zmiana, bez zastanowienia się, wjechała w koleiny nieodpowiedzialności za kraj. Przyszłość rodaków w opałach. Górę wzięły betoniarskie skłonności władzy odgradzające nas od świata. Potwierdza się truizm, że społeczne otoczenie jakiejkolwiek budowli jest nader istotnym elementem jej trwania lub upadku. Historia naszego kraju odnotowała sporo takich splotów wydarzeń. Jak się okazuje czas dzisiejszy nie zamyka drogi do ich wzbogacenia o kolejny nieszczęsny przypadek. Jeśli stajemy przeciwko większości europejskich państw i to z jedynym mało skutecznym, bo zaledwie werbalnym orężem, to efekt tej absurdalnej batalistycznej gadaniny jest przesądzony. Mnożące się żenujące dysputy w Polsce i o Polsce m.in. na plenarnych forach Parlamentu Europejskiego (PE) i bywania podsądnym w niezliczonych sprawach toczących się w Trybunale Sprawiedliwości Unii Europejskiej (TSUE) i innych prawniczo-sądowniczych gremiach – dowodem tego.

Pogubiliśmy się w swobodzie. Nienawidzimy niewoli, ale i wolność nas przytłacza. Żyjemy w aurze rozterek bez widoku na otrząśniecie się z nich. Kolejne dylematy przed nami. Rodzi się pytanie: dlaczego RP musi kolejny raz zmierzać ku czeluści? Taka to bodaj wersja hamletyzmu w rodzimym wydaniu. Konspiracja, prześladowania, tragicznie kończące się zbrojne zrywy, bezrozumnie rozlana krew, to polski żywioł. Uwielbiamy przyjaźń, ale z podłożem kwadratury koła, a mniej z praktyczną formułą wzajemnego poszanowania.
Nowogrodzkie dowództwo zatraciło instynkt odczytywania społecznych nastrojów, mimo że jest także ich akcjonariuszem. Faktem pozostaje, że partyjno-polityczna spółka zaczyna lśnić zarządczą, ale i moralną posuchą. Renowacja postrzępionego autorytetu naczelnego sztabowca może okazać się nader kosztownym zabiegiem, deprymującym nawet jego wiarusów, ale i dotychczasowych młodych pochlebców. Ich los jest godny współczucia i pesymizmem trąci. Ale taką wybrali drogę. Przeraża ich bezrefleksyjność. Euforia chwili bodaj przyćmiła im perspektywę. Dzisiaj splendor, jutro szukanie chleba.
Trwanie na prestiżowych stolcach ma swój kres. Ważne, aby moment rozstania się z nim nastał o przyjaznej porze. Każda inna chwila tarapatami obfituje. Brawura nie zawsze jest właściwą formułą żegnania się z dotychczasowym stanowiskiem, chyba że zwieńczeniem owej posługi będzie wartość dodana na rzecz mocarstwowości państwa i społecznie aprobowana. Dotąd niewiele było takich przypadków, zaś zgruzowanych karier wiele. Kruszenie murów niemocy, daje nadzieję na przyjazną odmienność. Rdzewienie, to powolny proces, naturą zasilany i nią regulowany, który w wariantowym trybie trapi także sprawujących władzę. Kruchość fundamentów na jakich spoczywa rządząca nami zwierzchność przeraża. Pocieszeniem może być jedynie to, że pada w niemoc, może w zwolnionym tempie, ale na pewno o systematycznym jego gruntowaniu. Bezwiednie tworzy też wyłomy w zbudowanej przez siebie ścianie, mającej chronić partyjno – rządową kamarylę przed demokratycznymi powiewami. Owi zagorzalcy nie odstępują na krok od litery tzw. przekazu dnia, stając się, mimo woli, skutecznym taranem kruszącym zwartość muru, mającego odtrącać demokratyczne powiewy wbrew zdrowemu rozsądkowi, a to już paradoks. Lekceważenie tych trendów sugeruje klęskę rządzącej formacji. Nowogrodzka chyba tego w pełni nie ogarnia, a jeśli tak, to godzi się na zjazd po pochyłości, przynajmniej w społecznych ocenach, przez siebie uwiedzionego elektoratu, który po przebudzeniu stopniowo szuka ścieżki ku realizmowi. Rysy w przedmurzu, to upokarzający cios dla rządzącej opcji.

Wyłom

Zjednoczona prawica ma problem ze spójnością. Nie jest to zjawisko zrodzone w ostatniej chwili. Zaranie przyjaźni już sztucznością się mieniło, bowiem charyzma, wprawdzie różnej gradacji, każdego z trójki sprzymierzeńców, iskrząca pod wspólną peleryną, ponoć dobrych intencji, była pozorem monolitu i takim pozostała. Chropawość układu, wzmacniana krótkowzrocznymi interesami każdego z liderów się obnażyła. Egoizm tłumi szlachetne intencje, ale nieoczekiwanie potrafi też eksplodować kontrowersjami z upadłościowymi naciekami. Elektorat, ignorując własną powściągliwość i analityczną roztropność, płynąc na fali emocji, zazwyczaj gubi perspektywę, a więc czas, w którym przyjdzie mu żyć, po swoich euforycznych wyborczych decyzjach. Gdyby w porę zbratał się z krytycznym rozsądkiem i nie ulegał wyrachowanej, obliczonej na krajowe targowisko, ubogiej w treści propagandzie liderów tzw. zjednoczonej prawicy, dzisiaj mógłby satysfakcją tryskać, a już na pewno szczycić się obniżonym wskaźnikiem społecznych rozterek. Widok ku przyszłości zapewne byłby bardziej

radosny, również w międzynarodowych relacjach. Tymczasem tzw. zjednoczona prawica w imię zawłaszczania politycznego krajowego podwórka, bezsensownie usiłuje łamać ratyfikowane wcześniej traktaty pod pozorem rzekomej utraty suwerenności. Taktyka absurdalna, bo logicznym następstwem każdego paktu jest rozluźnienie międzypaństwowych barier, a nie popadanie w niewolę. Nie raz w naszych dziejach buńczuczna umysłowa ciasnota władców pozbawiała Rzeczpospolitą samostanowienia, łącznie z likwidacją granicznych sygnatur. Echa tamtych dni dzisiaj zaczynają brzmieć swojsko, ale rządzący tego nie dostrzegają, co zasmuca. Na tę chwilę nie ma zagrożenia suwerenności. Przekorne hasła emitowane przez rządzących są obliczone na kolejne uwiedzenie suwerena, aby prolongował ich dalsze władztwo, czyli kontynuowanie klanowej duchoty. Jedynym motywem takiej opcji jest potrzeba zaznaczania swojej ważności na krajowym targowisku samolubstwa. Nie wiadomo też na ile okruchy, spadające z zarządczego pańskiego stołu będą wystarczającą pożywką dla stymulowania zachowań elektoratu, także tego bezkrytycznego, o pancernej odporności. Wątpliwości sporo. Górę wziął słowny faryzeizm uściślony końskim okularowym przekazem. Ale czy to usatysfakcjonuje tylu, aby nadal kreślić na wstecznym biegu przyszłość dla ogółu społeczeństwa?

Świat się oddala. Smutne jest to, że permanentnie rząd jest wzywany przez unijne, ale i inne europejskie, a także światowe gremia do objaśniania swoich czynów, kolidujących nie tylko z obustronnymi zobowiązaniami, ale celującymi w serce demokracji. Mnożące się dysputy na plenarnych posiedzeniach Europejskiego Parlamentu o smutnych polskich sprawach autorstwa rządzącej koterii, uwłaczają godności polskiemu społeczeństwu. Sceptycyzm to też kultura racjonalnego myślenia, która niechybnie, tj. wbrew oczekiwaniom partyjnych notabli, wkradła się w elektorskie umysły, stając tu ówdzie w przekorze do koteryjnych wyrachowanych nakreśleń. Rezultaty sondaży chyba deprymują wicepremiera od bezpieczeństwa i autora dusznej atmosfery wokół demokracji.

Nie ma wątpliwości, że tzw. zjednoczona prawica, kreująca się na skalny monolit poprawności nigdy taką nie była. Dzisiaj objawiła się w adamowym stroju drżąc w bezwstydzie. Na jej obudowie pęknięcia, mogące zgruzować obłudną konstrukcję. Prześwity są wyraziste, przez które można dostrzec zbliżające się konstelacje społecznych pragnień. One bynajmniej nie usiłują cementować owych rozpadlin zafundowanych sobie przez Nowogrodzką. Perspektywa pokaźnego wyłomu staje się wyrazistą. W tym przypadku suweren winien wstrzemięźliwie, a nie euforycznie objawić swoje weryfikacyjne umiejętności. Ważna jest pokora wobec Rzeczpospolitej i uczciwość w podejmowaniu czynów mających wzmocnić obywatelską ufność do państwa. Wiecowe, bogoojczyźniane mowy, w statystycznej zwyczajowości, po ostatnim wykrzykniku trafiają na archiwalne półki, albo pochłania je gwałtowna obustronna niepamięć. Te prozaiczne refleksje winny dać także asumpt do uważnego śledzenia czynów każdego politykierskiego krzykacza. Ostrożności nigdy za wiele, bowiem dzień następny jest wstępem w nieskończoność. I chociażby z tego powodu administrujący krajem winni zakreślić panoramę rozwoju państwa nie na wieczność, ale na dostępny przyszłościowy realny zasięg wraz ze skatalogowaną wizją propaństwowych czynów. W tym punkcie zastój. Czerpmy od innych szlachetne moduły i wzbogacajmy nimi własne podwórko.

Zaglądanie do zbioru światowych rozwiązań, z których nie wszystkie są patentami strzeżone, powinno stać się bezwarunkowym odruchem każdej tworzonej ustawy. Merytoryka najważniejsza. Ameryka dawno temu została odkryta, ale i ona nadal poszukuje nowatorskich rozwiązań w obrębie demokracji. Inne państwa, o znacznie starszych dziejowych żywotach, także usiłują uszlachetniać jej genetyczne walory. Naszych władców prześladuje zasklepienie

się we własnym wzorcu sterowania państwem, wykluczającym modernizacyjne sugestie. Doszło do tego, że Biały Orzeł i biało-czerwona, przestały być wszechobecną inspiracją do wyzwalania entuzjazmu. Stały się wiecowymi hasłami i emblematami w klapach marynarek osłaniającymi politykierskie torsy. Partyjna fasadowość sprowokowała inflację narodowych, ważnych dla obywateli, patriotycznych znaków. Czas, aby przywrócić im parytetową duchową rangę. Prostactwo, to fatalne narzędzie zarządzania Nadwiślańskim Krajem.

Perspektywa

Kreślenie przez rządzących konceptów postępowania w bliższej i dalszej przyszłości na rzecz kraju, którym zawiadują, winno być ich atawistycznym obowiązkiem i następować w nurcie społecznych konsultacji z poszanowaniem międzynarodowych zobowiązań i naszych wierzytelności. Sukces wieszczy tylko zarządczy profesjonalizm, ale jeśli jego realizatorami na dzień dzisiejszy stają się, wiernopoddańcze partyjne manekiny, to Polska w ruinie zaczyna być autentykiem. Kreślenie przyszłości w rodzimych uwarunkowaniach jest sztuką, której dotąd nie udało się sprostać aktualnym władcom. Jesteśmy w UE, ale także istniejemy w niezliczonych światowych konfiguracjach. Tam również obowiązują rygory, które zaakceptowaliśmy. Dzisiaj rządzący w nagannym, wewnątrzkrajowym politykierskim rozumowaniu poddają w wątpliwość tamte regulacje. Są to objawy obłędu, a nie interesownych dla kraju kalkulacji. Niemiły to sygnał.
Rządzący, szkicując przyszłość Polski, winni wyzbyć się partyjnej patyny. Doczesna wizja powinna stać się ważkim zawołaniem do pozbycia się spowijającej rządzących zaściankowej ułomności. Gnomon czas odmierza.
Pora wyciągnąć wnioski z tego przemijania. Parafrazując wiekopomną myśl Jana Zamoyskiego (1542-1605), że taka Rzeczpospolita będzie, jaki sukces dzisiaj społeczeństwo odniesie. I to winno być największym zmartwieniem tych u steru władztwa. Oby następcy nie musieli się rumienić za partyjne chciejstwo dzisiejszych mędrków. Niestety, w tym punkcie pesymizm zwyżkuje. Rozeszła się sloganowa wizja mocarstwowej Polski, emitowana nowogrodzką tubą z czynami podejmowanymi przez jej funkcjonariuszy. W tej karkołomnej rozterce nie sposób szkicować pomyślność dla następnych pokoleń.

* * *

Każda marszruta wymaga skrupulatnej analizy po to, aby dotrzeć do upragnionego celu. Partyjno-rządowy drogowskaz poruszania się w zdroworozsądkowej przyjaźni, tak wewnątrz granicznego obszaru, jak w najbliższym sąsiedztwie, to tylko sugestia. Praktyka innymi drogami bieży. Dręczy to, że kłótliwość ogarnęła także graniczne styki, które od wieków na przemian iskrzą. Obrazoburcze deklaracje dedykowane zachodniemu i wschodniemu mocarstwu są nieroztropnością. Ignorowane w tym punkcie myśli m.in. Romana Dmowskiego (1864-1939), Jerzego Giedroycia (1906-2000), Andrzeja Walickiego (1930-2020) i innych racjonalistów opowiadających się za współrzędnym traktowaniem polskich granicznych wschodnio-zachodnich interesów. Ten kanon nie stracił na aktualności. Przykro, że nadal sceptycyzmem iskrzy. Może dobra zmiana dysponuje własną receptą na ostateczny kres wschodnio – zachodniego wojennego tranzytu przez polskie ziemie. Nic na to nie wskazuje, a ostatnia, wprawdzie symulacyjna wojna ze wschodnim sąsiadem, zakończyła się błyskawiczną klęską naszych wojsk. Ważki to materiał do przemyślenia.

Przedwyborcze zapowiedzi oscylowały wokół idealistycznej wizji kraju, która będzie zmierzać ku mocarstwowości. Dotychczasowe czyny są kostropate i politycznym chciejstwem namaszczone. Odżyła dawna partyjna pryncypialność. Jeśli premier rządu publicznie gani opozycję, a za nią przecież większość społeczeństwa, to wiadomo, że społeczne konsultacje na zasadzie partnerstwa, a nie pozornych populistycznych gestów, będą tylko teatralną farsą. Jeśli premier rządu prosi opozycję do współpracy i jednocześnie udziela jej reprymendy, to w tej sytuacji musi wkroczyć Sławomir Mrożek (1930-2013). Wisielcza to praktyka zarządzania państwem z wrogością, także w odbiorze dla reszty świata.
W marszrucie ku szczęśliwości narodu zapomniano wyznaczyć bezkolizyjną ścieżkę doprowadzającą do Edenu ponoć zrujnowany kraj. Trwa twórcze pogłębianie fosy oddzielającej się rządzących od reszty społeczeństwa. Zapodział się dialog rządzących z elektoratem. Buńczuczność władców sprzeniewierzyła się pragmatyzmowi w postrzeganiu polskiej racji stanu. Przyjazne gesty innych państw są odrzucane. Nie sposób zinterpretować tak wątpliwej opcji.

Janina Łagoda